



165  
w

wierzch swoją książeczkę wojskową i bilet otrzymany ongiś od generała. Tak przygotowany zajął miejsce za stołem naprzeciwko drzwi wejściowych i spokojny już zupełnie czekał.

Nie czekał długo.

Ciszę izby, podkreślaną głośniejszym niekiedy szeptem młłającej się matki, rozdarło najpierw wściekle ujadanie psa, a potem stuk i zgrzyt ciężkich, podkutych butów na kamiennych stopniach przed gankiem.

A potem - twarde uderzenie w drzwi, nie wiadomo: butem czy kolbą.

I szorstkie, nakazujące warknięcie:

- Aufmachen!

Warknięcie zbyteczne, gdyż pod naciskiem uderzeń czy kopnięć drzwi ustąpiły same.

W ich rozworze pojawili się trzej: policjant, esaman i żołnierz.

Weszli wszyscy bez słowa, ostrożnie, rozglądając się bacznie i węsząc. Esaman trzymał karabin w pogotowiu.

Opuścił go jednak rychło, bo już policjant, stwierdziwszy pokojową postawę mieszkańców, przeszedł od razu z ostrożnej,

czającej się pozycji na zachowanie się harde i pełne buty.

Rozkraczywszy się szeroko i obrzuciwszy pogardliwym spojrzeniem gospodarzy, huknął:

- Familie Pietryga?

- Jawohl! - odparł ojciec, powstając z miejsca.

- Kto tu jest gospodarzem? - zadał, retoryczne raczej, pytanie, zwracając się i tak bez żadnych wątpliwości do ojca.

- Jo - odparł ojciec.

- Bartholomäus Pietryga? - odczytał policjant z kartki dobytej z teczki.

- Tak - potwierdził ojciec.

- Rodzina na miejscu? - indagował dalej Prusak.

- Tak.

- Syn, Adalbert, też?

- Tyż.

- A żona, Bronisława? Czy to ta, co leży w łóżku? - wskazał pogardliwym podrzuceniem brody.

- Nie - sprostował ojciec - żona siedzi przy chory...

- A ta w łóżku, to kto?

- To... to... - stropił się ojciec - to krewniaczka, choro.

- I, by odwrócić uwagę Niemców od Szymczakowej, podsunął policjantowi skrzynkę z cygarami.

Policjant zawahał się, ale esaman już bez ceremonii dobył z pudełka całą garść cygar i podawszy jedno policjantowi, poczęstował z kolei żołnierza.

- Dziękuję - zrezygnował tenże i nie będzie teraz palił.

- Szkoda - mruknął esaman - bo marka bardzo dobra. - I z uśmiechem zadowolenia, zapaliwszy cygaro sobie i policjantowi, wsunął pozostałe do kieszeni.

- A może... napijecie się? - zaproponował ojciec. - Taki ziomb na dworze...

- Zdałoby się - wyraził gotowość esaman, zerkając w stronę policjanta. - Ziab naprawdę paskudny...

- No dobrze, ale tylko po jednym kieliszku, bo czas leci... Gefreiter, napijecie się z nami? - zwrócił się policjant do żołnierza.

Ten jednak i tym razem odmówił.

- No, to trudno, będzie więcej dla nas - skonstatował esaman, zabierając się do napełnionych przez ojca kieliszków. - A wy, Pietryga, zaczniście już pakować manatki, bo czas leci!

- ... Pakować manatki? - powtórzył, jakby nie mogąc pojąć polecenia, ojciec.

- No, oczywiście! - potwierdził ostro policjant.

- I to prędko: einz, zwei! Żeby na dziesięć minut już i śladu tu po was nie było.

- Jak to... śladu nie było! Nie rozumiem, I czymu? Za co? Jakiym prawym?

- Naszym prawem, Prawem Fuhrera. Niemrozumiesz tego, chamie głupi?

Ojciec rozłożył ręce.

Policjant aż głową z politowaniem pokiwał nad przejawem tak bezgranicznej tępoty.

- Ten stary bamber zdaje się rzeczywiście nie rozumieć, że polskie prawo już od września wszyscy diabli wzięli. Na tysiąc lat. Na zawsze. Dobrze wam tak, głupie Polaki! Nie chcieliście Fuhrerowi po dobroci oddać tego małego pomorskiego korytarza, to teraz musicie mu oddać wszystko. No i teraz nie ma już Pomorza, jest Westpreussen, nie ma już Polski, jest Generalgouvernement, a tutaj, gdzie była prowincja poznańska - jest teraz Warthegau. Zrozumiałeś? Warthegau. Poznań, Kutno, Łódź... to wszystko jest

teraz Warthegau, I wy, Polaki, nie macie już tu teraz nic do szukania. Musicie się stąd wynosić tam, skąd żeście przyszedli!

- Hm - poskrobał się po głowie ojciec.- to sie zrobić nie do.

- Jak to, się nie da?!

- Zwyczajnie; no bo dokond to jo mam właściwie iść?

- Powiedziałem, tam skądś przyszedł.

- Ale jo przeci znikond nie przyszedym.

- Jak to!

- No, bo przecie zawdy tu bułym. W ty wsi i w ty chałupie.

I mój łojciec tyż. I dziaduś tyż. I pradziaduś. Dzieciokiy m jeszczy byłym, ale dobrze pamiyntom, jak na tym tu łózk u pradziaduś umiyroł...

Poliojant stropił się, zamilkł.

Ake już mu z pomocą pospieszył esaman:

- Dosyć tej gadaniny - zawyrokował. - I tak zbyt długo już tu siedzimy. No, stary! Zabieraj się. Raz, dwa! Spakować manatki i - raus!

- Nie! - stanowczo oświadczył ojciec - to niemożebne. Jo sie stond nie rusze!

- Co takiego? - niemal ~~na~~ jednocześnie z najwyższym zdumie-

niem wyrzucili z siebie policjant i esaman. - Nie ruszycie się?!

- Nie! - powtórzył zdecydowanie ojciec i jakby po nadmiernym wysiłku osunął się ciężko na krzesło.

- Co się tu dzieje?! Co wy wyrabiacie? Czemu zwlekacie? Dlaczego tutaj utknęła cała akcja?! - padło szereg warknięć ostro rzuconych od drzwi.

Zwrócili się wszyscy w stronę warczącego. Był cały czarny, z wyjątkiem czerwonej opaski ze swastyką na prawym ramieniu i bladej, bardzo jeszcze młodej twarzy. Obrzuciwszy wszystkich zimnym, pogardliwym spojrzeniem i uderzywszy pejczem w lśniącą cholewę wysokiego buta, powtórzył ostro:

- Co się tutaj dzieje?

- Herr Sturmführer - służbiście sprężył się policjant - ten stary Polak odmawia nam posłuszeństwa. Utrzymuje, że nie mamy prawa wysiedlać go z jego chałupy.

Porywczym krokiem podszedł "czarny" do stołu. Wbił w Pietrygę pociemniałe z wściekłości spojrzenie i warknął:

- Jak śmiesz protestować? Jak śmiesz przeciwstawiać się zarządzeniom Führera?! Czy nie wiesz, że możesz w każdej chwili stracić nie tylko tę nędzną chałupę, ale i życie? Ty i wy

wszyscy. Bo wy, Polaki, jesteście wszyscy razem zbóje, łotry, mordercy. I jeśli ty śmiesz mnie pytać o prawo, to ja zapytam ciebie: jakim prawem wy, Polacy, wymordowaliście w Bydgoszczy dziesiątki tysięcy niewinnych i bezbronnych volksdeutschów? Kto spowodował tam tę straszną i haniebną "Krwawą Niedzielę", kto? Pytam, kto? - Wy!

- My? - z lekka wzruszył ramionami Pietryga. - To niemożliwe. Nic o tym nie słyszałem - dodał ze szczerym zdziwieniem.

Esaman aż się zadławił z oburzenia.

- Niesłychane! Cóż za bezczelność! - I przysunąwszy się tak blisko, że tylko blat stołu oddzielał jego podniesioną pięść od twarzy ojca, charknął: - Ośmielasz się przeczyć? Przeczyć temu, co powiedział sam Führer?! Poczekaj, ty stary łotrze, ty zbój, ty tchórze!

Ojciec poderwał się z miejsca.

- Coś powiedział? - wyrzucił z siebie groźnie. - Coś powiedział? Łotr? Zbój? Kto? Jo? A czy to jo kumu włąże po nocy do chałupy, czy kto? A kto tu jesta tchórze, to sie zaro pokoże. Gdzieżeś ty był, kiedy jo na francuskiym froncie w nojgorszych bitwach w okopach leżołem? Kiedy pod Werdunem dwa razy ciynżko



ranny byłym! Kiedy waszygu gyncerola na własnych plecach z nej-  
wiykszygu łognia wynióżym? Gdzieżeś ty wtyncoz os buł, ty i twoje  
kamraty, gdzie? Powiysz, że zmysłom, że kłamie... No to skond  
mom tyn Zielazny Krzyż? - zapytał, podnosząc głos i cofając się  
ok krok tak, by znaleźć się w kręgu światła lampy. - Skond mom  
tyn krzyż piyrszy klasy? Choecie wiedzieć? No, to mocie tu moje  
papiury. Zoboczcie sami - zakończył, gwałtownym ruchem podsuwając  
na skraj stołu swoją książeczkę wojskową i generalski bilet.

Ezięli, zaskoczeni, dokumenty do rąk; napierw "czarny",  
a potem esaman i policjant. Zapoznawszy się z ich treścią  
i rzuciwszy z ukosa spojrzenia na wiszące na piersiach Pietrygi  
odznaczenie - stropili się, zdumieli i przycichli.

- Donnerwetter! - wyrwało się żołnierzowi, gdys z kolei on  
odcyfrowywać począł treść generalskiej kartki. - Ten stary Polak  
nie kłamie. On rzeczywiście uratował naszemu generaloberstowi  
życie.

- I ma naprawdę Eisernes Kreuz pierwszej klasy! - stwierdził,  
nie bez respektu w głosie policjant.

- No i co z nim teraz zrobić? - zastanowił się esaman.

"Czarny" nie odpowiadał, tylko przygryzał w zakłopotaniu  
cienkie wargi.

- Sądzę - ośmielił się zauważyć żołnierz - że może należa-  
 łoby dziś tego starego z jego rodziną w spokoju i zameldować  
 o wszystkim ortskommandantowi. Niech zbada papiery Pietrygi  
 i niech wyda właściwą decyzję. Ostatecznie, ten Polak ma nasze  
 wysokie odznaczenie za niewątpliwe zasługi...

- Tak, tak, najlepiej zameldować ortskommandantowi - poparł  
 ten wniosek policjant. - Tak będzie najwłaściwiej.

- So... - waży sprawę esesman, wciąż w niezdecydowaniu  
 ścinający wargi. - So...

- Ten Generaloberst ... młody był czy stary? - zwrócił się  
 policjant, zniechęca, z zapytaniem do Pietrygi.

- Jaki był stary? Tak pewnie jak ja, albo może i ździebko  
 młodszy.

- Hm.- znacząco mruknął pytający - to on może i żyje  
 jeszcze?...

- Pewnie, że żyje - aż nazbyt skwapliwie poparł jego przy-  
 puszczenia ojciec.

- Więc mógłby być kłopot - podsunął półgłosem esesmanowi  
 policjant. - Ten Polak gotów się jeszcze u niego zażalić ...

- Quatsch! - powziął wreszcie decyzję "czarny". - Rozkaz  
 jest wyraźny: wysiedlić Pietrygę z całą rodziną. Należy więc

183  
h

rozkaz wykonać. I to natychmiast. No! - podniósł głos rozkazująco w stronę ojca: - Zabierajcie się. Prędko! Wszyscy! I niech mi tu za dziesięć minut nie będzie po was ani śladu!

Ojciec poruszył wargami, ale nie odpowiadał nic. Stał jakby sparaliżowany niepojętym dlań wyrokiem. Również zaskoczony zdawał się być żołnierz. Przez moment wydawało się, że chce wtrącić jeszcze jakąś uwagę, podniósł nawet w tym celu, niby argument, papiery wojskowe Pietrygi. Rozmyślił się jednak prędko i zrezygnowanym gestem położywszy dokumenty na stół, cofnął się ku drzwiom.

Wówczas ojciec drgnął. Powolnym ruchem wysunął ciężko dłoń po złożone na stole papiery.

Ale długie, blade palce esesmana były szybsze. Porwały po-  
zółkłe, sfatygowane kartki i zmiąwszy je, wsunęły do kieszeni.

- Łoddej papiury! - groźnie powiedział ojciec.

"Czarny" uśmiechnął się drwiąco.

- Cóż ci po nich?! - wzruszył pogardliwie ramionami. Nie będą ci już potrzebne...

- Łoddej mi zaro moje papiury, szczynioku! - podniósł ojciec głos do krzyku.

- Milczeć! - warknął "czarny". - Za chwilę nie tylko te stare dokumenty, ale wszystko tu będziesz musiał zostawić.

Herr Polizeimeister! Wyprowadzić to ścierwo z chałupy! Natychmiast!

- Rozkaz! - stuknął obcasami policjant.

- Wiync to tak... Ano, kiedy tak, kiedy mi już wszystko zabiycie na rozkaz tego wasz\_ygu fūrera, no to weźcie jeszcze i to...

I jednym czarpięciem zerwawszy z piersi Żelazny Krzyż, rzucił go esesmanowi w twarz.

- Weź gu sobie - krzyknął. - Weź gu sobie, łobuzie! I zanieś to łodymnie tymu twojemu złodziejskiemu firerowi!

Jeszcze krzyk nie przebrzmiał, gdy nad siwą głową ojca uniosły się pięści policjanta i szpicruta esesmana. Wojtek porwał się na pomoc ojcu, ale w tej samej chwili unieruchomił go z tyłu czyjś bardzo mocny chwyt. Tak mocny, że nie tylko paraliżujący jego poryw, ale nieomal wynoszący go z izby.

Usłyszał jeszcze tylko rozdzierające krzyki matki i głośny płacz nie wiadomo: ciotki Joasi czy Szymczakowej. Z tumultu i wrzawy, dochodzącej z izby, wybił się donośny, rozkazujący

głos, wzywający pomocy z podwórza.

Uzbrojeni w karabiny esesmani otarli się szorstko w przejściu o Wojtka.

Wypchnięty na dwór, stał na uboczu, obezwładniony nie tylko gwałtownym przebiegiem wydarzeń, ale i żelaznym uściskiem nie odstępującego go żołnierza.

Szarpiąc się i miotając, próbował wyzwolić się z tego uścisku, zwłaszcza gdy ujrzał, jak napastnicy wywlekli z domu nieprzytomnego chyba zupełnie ojca i rzucili go na wóz niby wóz kartofli. Równie brutalnie wypchnęli ślaniającą się na nogach matkę.

Wojtek raz jeszcze gwałtownym szarpnięciem spróbował się wyzwolić, aby pomścić rodziców, czy już by tylko towarzyszyć im na wygnanie. Nieprzytomny prawie z rozpacz, rzucał się i wydzierał coraz zacieklej. Jednak twardy i bolesny uchwyt żołnierski udaremnił jego wysiłki nawet w chwili, gdy wóz ruszył sprzed domu.

- Nie szarp się, durniu! - usłyszał szept żołnierza, wyraźny mimo rozdzierającego krzyku szymczakowej. - Nie szarp się! Po co! Starym teraz nic nie pomożesz. Wywiozą ich do General-

nej Guberni, a ciebie oddziela i zamkną w lagrze, Więc po co hitlerowcom leżeć dobrowolnie w łapy?! Uciekaj, pókiś wolny!

A wrywaj tak, żeby cię nie przyłapali...

I ręce, które dotąd więziły go jak obręcze, rozwarły się, jednocześnie pchnąwszy go w mrok podwórka. Zatokczył się i upadł tuż obok budy Azora. Pies, ochrypły od nieustannego ujadania, poznał go i przygarnął się doń uradowany. Machinalnie spuścił go Wojtek z łańcucha. Wbiegli obydwaj do ogrodu. Ani pamięta, jak przelazł przez płot, jak przebrnął przez rozmokłe łąki i w ciemnościach znalazł mostek na rzece. Ten jedyny, przy którym Niemcy zapomnieli postawić posterunek, a który prowadził na ścieżkę wiodącą w marzelewski bór.